

O współczesnej sztuce rozmowa z Waldemarem Łysiakiem...



- Jakie są kardynalne cechy sztuki europejskiej? Czym się ona różni od tzw. sztuki współczesnej?

- Najładniej to ujmując: różnią się one tym, że sztuka europejska - zarówno sztuka antyczna, jak i sztuka nowożytna - była sztuką w najlepszym sensie tego słowa, zaś tzw. sztuka współczesna nie jest sztuką, tylko hucpą bezczelnie określaną jako sztuka przez produkujących i lansujących ją farmazonów. Formalne cechy sztuki europejskiej - na przykład w malarstwie światłociemności i różne rodzaje perspektywy, którymi to metodami nie posługiwali się inni, pozaeuropejskie kręgi kulturowe - są tu sprawą drugorzędą. Zarzucenie ich w końcu wieku XIX i w pierwszej połowie XX wieku wcale nie oznaczało pożegnania się ze szlachetnymi muzami, czego dowodem arcydzieła van Gogha, Chagalla i Magritte'a lub geniusz Picassa. Również rezygnacja z tradycyjnej figuratywności nie oznaczała degrengolady, czego dowodem, choćby w rzeźbie, twórczość Moore'a lub Brancusiego. Zapaść artystyczną przyniosła dopiero druga połowa XX wieku, a zwłaszcza trzy końcowe dekady minionego tysiąclecia.

- Czy można mówić o współczesnej zapaści wszystkich sztuk plastycznych?

- Widzę tu istotną różnicę między architekturą oraz grafiką, które się bronią przed upadkiem, a rzeźbą i malarstwem, które utraciły już wszelką godność artystyczną. Współczesne maniery dobrych grafików czy sztuka plakatu ostatnich dekad to ewolucyjny, naturalny etap dawnych osiągnięć. Dzisiejsze realizacje architektoniczne Franka Gehry'ego to sztuka budowania równie imponująca jak budownictwo gotyckie i barokowe. Tymczasem malarstwo obecnej doby zasługuje wyłącznie na miano bohomazów, zaś rzeźba - wszelkie owe instalacje, performances i inne happeningowe wygłupy - to niesmaczny jarmark trójwymiarowych grepsów lub wulgaryzmów i doprawdy nic więcej. O pierwszeństwo biją się tu gorszące i żenujące produkty pseudoartystów bezwstydnie pozujących na artystów z prawdziwego zdarzenia. Wręczanie laurów tym grafomanom estetyki jest działalnością deprawującą, stricte szalbierczą.

- Przecież sami nie wręczają sobie laurów. Bez promotorów nie robiliby karier nawet efemerycznych.

- To prawda. Bez złych mentorów, bez zdegenerowanej krytyki artystycznej i bez nazbyt tolerancyjnych szefów galerii sztuki - nie byłoby całego tego cyrku. I zapewne byłby on mniej rozpanoszony, gdyby kilkadziesiąt lat temu, kiedy ta gangrena dopiero raczkowała, znalazło się więcej krytyków diagnozujących i piętnujących chorobę. Ale stanowiliśmy mizerną mniejszość. Kiedy w połowie lat 70. opublikowałem duży esej pod tytułem "Quo vadis ars?", surowo rozliczający awangardę pseudoartystyczną, to chociaż drukowano go w kilkunastu językach na kilku kontynentach - był typowym wołaniem na puszczy. Przeważałem tam wspomnianą awangardę szarlatanerią, która jest patologią sztuki. Musiało minąć wiele lat, by takie głosy stały się częstsze. Dzisiaj Jean

Clair, dyrektor dwóch wielkich francuskich muzeów sztuki współczesnej, biadoli poniewczasie: Dzisiejsza awangarda jest destrukcją. Destrukcją potencjału gromadzonego przez stulecia. Obecne szkoły artystyczne pełne są belfrów przekazujących kult pustki estetycznej, a świat pełen jest pseudoartystów, dla których wszystko jest sztuką. Identycznie się wypowiada znany niemiecki krytyk, Godfryd Sello: W galeriach i muzeach walają się przedmioty zwane sztuką jedynie dlatego, że znajdują się tutaj, a nie gdzie indziej. Fakt - prawidłową lokalizacją większości tych obiektów winien być śmietnik. Francuski filozof, zresztą były socjolog, Jean Baudrillard, wydał niedawno książkę pt. "Le complot de l'art" ("Spisek sztuki"), której główna teza i konkluzja puentująca brzmi tak: Sztuka współczesna jest niczym innym, jak wielkim oszustwem - oszustwem praktykowanym na skalę masową.

- To rodzi wniosek, że jedyną deską ratunku może być opór na skalę masową.

- Dokładnie tak. Przy czym musi to być masowy opór ze strony mentorów - ze strony ludzi kształtujących opinię publiczną i ludzi modelujących systemy nauczania w akademiach sztuk pięknych. Jak na razie - jest z tym krucho, aczkolwiek coraz częstsze są głosy terapeutów. Znany brazylijski poeta, eseista i krytyk, Alfonso Romano, powiedział właśnie, udzielając wywiadu "El Pais": Trzeba dokonać przeglądu całej nowoczesnej sztuki i szybko stworzyć inne kanony. Bo dzisiaj sztuką jest wszystko, co komuś zechce się za sztukę uznać. Polityka rozliczyła się już z szarlatanerią marksizmu, a psychologia z szarlatanerią Freuda, czas więc, by sztuka zrobiła to samo w stosunku do królującej dziś pseudoawangardy. Ale nikt nie chce tego robić na serio. Ze strachu.

- Jak Pan ocenia polską krytykę sztuki współczesnej?

- Błądzi ona równie głupio co zachodnia, i jest to naturalne, bo polska krytyka sztuki - każdej sztuki - zawsze była epigonalna wobec Zachodu. Zachodni krytycy sztuki, dobrze pamiętający wpadkę ich XIX-wiecznych poprzedników z niedocenieniem impresjonizmu, oklaskują wszelkie wynaturzenia i dezynwoltury współczesnych mistrzów, bo wolą temu przychylnie kibicować, niż skopiować tamtą historyczną pomyłkę, dzięki czemu powstaje zamknięty krąg nonsensu: pseudoartyści licytują się tandetnymi dziwactwami, krytyka to akceptuje, galerie to wystawiają, a cielęcy dyletantyzm szerokiej publiki nie stanowi bariery społecznej dla całej tej megaszulerni artystycznej. W Polsce trzeba było dopiero dwóch awantur wewnątrz Zachęty - jednej czysto chuligańskiej, drugiej o podłożu religijnym - by zaczęto pejoratywnie oceniać działalność Andy Rottenberg, szefowej państwowego przybytku, ale spadła na nią krytyka nie ze strony ekspertów, tylko działaczy politycznych i publicystów, gdyż nasi eksperci solidaryzują się z pseudoartystyczną wytwórczością.

- Dlaczego ta już kilkudziesięcioletnia tendencja promowania i akceptowania współczesnej pseudosztuki pozostaje tak odporna na jej kontestację przez prawdziwych estetów?

- Bo szalona kariera demokracji w XX wieku dała ludziom złej woli i głupcom potężne instrumenty do manipulowania tłumem, czyli światem. Demokratyczna pseudowolność wyboru i drapowanie kiczu w szaty wielkiej sztuki - mają bardzo dużo cech pokrewnych. Skuteczność torpedowania owej chorej tendencji przez trzeźwo myślących komentatorów jest słaba, gdyż ich głosy, notabene nieliczne, są zagłuszane chórem klakierów pseudosztuki. Większą nadzieję pokładałbym w wybuchających co pewien czas skandalach, które mają wymowę humorystyczną i jawnie kompromitują apologetów hochsztaplerskiej awangardy. W malarstwie symbolem takich wpadek, demaskujących współczesną krytykę sztuki przed szeroką publicznością, jest inicjatywa niemieckiego kolekcjonera, Bereda H. Feddersena, który we frankfurckiej galerii wystawił płótna zabazgrane przez szympansicę z Zoo, głosząc, że są to dzieła młodej japońskiej artystki, a prawdę ujawnił dopiero wówczas, gdy krytycy sztuki opublikowali entuzjastyczne recenzje tych malunków. W rzeźbie natomiast symbolem jest heca, która miała miejsce podczas otwierania bońskiego Muzeum Sztuki Współczesnej: gromada koneserów uświetniająca tę ceremonię zachwycała się dużą instalacją z rur i desek, póki nie nadbiegł dyrektor, przepaszając, że robotnicy nie zdążyli usunąć murarskiego rusztowania. Im więcej będzie takich publicznych kompromitacji farmazonów, którzy biorą pieniądze jako jurorzy sztuki - tym gremialniej współczesny szary odbiorca kultury będzie dojrzywał do zrozumienia, że pada ofiarą wielkiego humbugu.

- Czy ta dzisiejsza zapaść sztuk pięknych nie jest czasem pochodną ogólniejszego zjawiska - kiepskiego stanu całej cywilizacji euroatlantyckiej? Jak Pan ocenia ten kryzys łacińskiej cywilizacji?

- Publicznie bolejąc, a w duchu klnąc. I jako taki jestem ewidentnym wnukiem Spenglera. Wszyscy, którzy frasują się z powodu degrengolady łacińskiego empireum kulturowo-cywilizacyjnego, są wnukami Spenglera, przeżuwaczami jego analiz, diagnoz oraz prorocstw dotyczących zmięczenia Zachodu. Wszelako nie jestem zdeklarowanym pesymistą, bo nie wiem, czy to, co dzisiaj obserwujemy, to już dekadencja par excellence, czy tylko przejściowa bessa kultury euroatlantyckiej. Lecz wiem, że zapaść sztuki nie miałaby miejsca bez ogólnej cywilizacyjnej zapaści, to są naczynia połączone. O przyczynach można pisać całe traktaty, gdybym jednak musiał ująć to za pomocą paru słów, rzekłbym: rakiem naszej cywilizacji okazała się bezgraniczna tolerancja dla grzechu. Zdjęto hamulce i bariery, które temperowały Zło i grodziły mu wiele ścieżek. Brak zakazów dla wszelkich degeneracji i perwersji, apologia, choćby filmowo-telewizyjna, każdej zbrodni i wszelkich wybryków ekshibicjonizmu, kult głupoty, tandety i erotycznej rulety - cały ten leseferyzm niszczy rodzinę, tkankę społeczną, elementarną przyzwoitość i sprawiedliwość, ergo: dewastuje cywilizację. Jeśli chodzi o sztuki piękne, to zabójczy dla nich wpływ nadmiernej tolerancji trafnie prorokował już kilkadziesiąt lat temu Pablo Picasso, mówiąc: Sztukę współczesną spycha do kresu przyzwolenie absolutne. Będzie to sztuka wyzbyta smaku i sensu, zero. I taką właśnie sztukę dzisiaj mamy.

- Czy pokusiłby się Pan teraz o prognozę czasową dla szans wyjścia sztuk pięknych z dołu, do którego wrzucił je kult nielimitowanej tolerancji? Kiedy może nastąpić przełom?

- Pojęcia nie mam. Wychodzenie z dołu kloacznoego zawsze jest bardzo trudne. Ale futurologizowanie jest jeszcze trudniejsze, wolę się powstrzymać. Pewien mogę być tylko tego, że nic się nie zmieni na lepsze, póki ludziom będzie zamykał usta animujący kontrkulturę terror politycznej poprawności. Niektórzy głoszą już, że to wręcz postkultura. Niedawno brytyjski dramaturg, Edward Bond, powiedział: Żyjemy w epoce postkultury. Wszyscy mówią co prawda o "postmodernizmie", ale właściwym słowem jest postkultura. Dla mnie właściwszym terminem jest: barbarzyństwo. Wtórne barbarzyństwo. Oby przejściowe i krótkie."

Autor: Szymek Zychowicz